

Park Krajobrazowy Międzyrzecza Warty i Widawki

Czesław Grądzki - wspomnienia (fragmety stron 42-45)

Urodziłem się dnia 24 lipca 1909 roku w Pabianicach. Rodzice moi byli pochodzenia chłopskiego i początkowo mieszkali na wsi, jednakże z powodu licznego rodzeństwa nie mogli utrzymać się z pracy na roli i musieli przenieść się do miasta w poszukiwaniu pracy i chleba. Zamieszkali w Pabianicach.

Dziadek był najpierw robotnikiem rolnym we dworze w Sędziejowicach, a następnie przeniósł się na wydzierżawione od dworu dziesięciomorgowe gospodarstwo. Za wydzierżawioną ziemię musiał wraz z babką odrabiać dniówki we dworze. Pracował więc jednocześnie we dworze i w swoim gospodarstwie, utrzymując rodzinę liczącą sześcioro dzieci.

W 1914 roku, po wybuchu I wojny światowej, rodzice moi zostali pozbawieni pracy w mieście i przenieśli się na wieś do dziadka, który dał im dwie morgi ziemi pod uprawę. W zamian za to musieli obrabiać dziadkowi pozostałe osiem mórg ziemi. Sam dziadek był już stary i nie mógł pracować. Zamieszkaliśmy więc u dziadka w Sędziejowicach.

Mieszkanie dziadka składało się z jednej izby, do której wchodziło się przez sień. Z sieni jedne drzwi wiodły do izby, drugie do obory, która wraz z mieszkaniem znajdowała się w jednym budynku. W oborze stała jedna krowa, koń, dwie świny i kury. Była również stodoła. Ojciec dostawił szopę do domu mieszkalnego, którą obrzucił gliną i tam mieszkaliśmy - rodzice, ja i młodszy ode mnie o 2 lata brat.

Prócz ojca przeprowadziły się z miasta jego dwie zamężne siostry, których mężowie poszli do wojska. Z braku pracy i wyżywienia musiały wraz z dziećmi przyjść na wieś do dziadka. One też zajęły szopy przy stodole, obrzuciły je gliną, założyły małe okienka i zamieszkiwały w nich. Nocą, gdy dzieci spały, ciotki szły w pole, by ukraść kartofli, względnie co się dało, by jakoś przeżyć wojnę, zanim wrócą mężowie. Szły też do roboty we dworze lub do bogatszych chłopów, byle tylko zarobić pieniędzy i wyżywić dzieci.

Latem czas schodził szybko, ale gorzej było w okresie zimowym, toteż wszyscy gromadzili się w izbie u dziadka, w której palono w dużym piecu i grzano się jego ciepłem. Pamiętam jak w te długie zimowe wieczory dziadek wzywał mojego ojca, samouka, dawał mu gazetę "Świąteczną", ażeby czytał na głos. Dziadek i babka nie umieli czytać, byli analfabetami. Była to przemycana gazeta pod nazwą "Gazeta Świąteczna", za której przyniesienie i doręczenie z miasta dziadek płacił żywnością, dając za nią ćwiartkę kartofli (25 kg), albo 5 funtów mąki i raz na tydzień ją otrzymywał. Doręczyciel brał kartofle na plecy i niósł je do domu, do miasta odległego o 15 kilometrów, aby wyżywić rodzinę.

W czasie czytania musiała panować uroczysta cisza i nie wolno było nikomu rozmawiać, bo jeżeli by ktoś nie zachował spokoju, dziadek wyrzuciłby go z mieszkania.

Po przeczytaniu gazety dziadek częstował ojca tytoniem własnego wyrobu, tak zwaną "samosiejką" i zapalali sobie po papierosie. Babka musiała dać ojcu kawał chleba żytniego na pół razowego oraz garnek mleka, żeby się posilił po przeczytaniu gazety. Ojciec połowę chleba zjadał, a połowę chował dyskretnie do kieszeni i potem dawał go nam. Dziadek mój i ojciec służyli w armii carskiej w Rosji przez okres pięciu lat i mieli sobie dużo do opowiadania.

Interesowali się polityką. Ciekawi byli zawsze wiadomości o wydarzeniach na świecie i w kraju. Toteż ojciec lubiany był przez dziadka, który szczylił się ogromnie, że jego syn jako jeden z sześciorga dzieci, które posiadał, umiał czytać i pisać. Był jego chlubą i gdy się zeszli sąsiedzi na pogawędkę, to kazał ojcu czytać gazetę zamiast opowiadać bzdury, jak to nazywał.

Gazeta was nauczy rozumu i nie będziecie ślepi jak do tej pory jesteście, bo nie wiecie co się w kraju i na świecie dzieje — mówił dziadek. Sąsiedzi schodzili się do niego przez całą zimę i słuchali chciwie, co za wiadomości przynosi im gazeta, po czym opowiadali je innym, uważając się za mądrzejszych.

Ciężkie to były czasy na wsi. Odzieży nie nosiło się kupowanej tylko samodziały zrobione z płótna. Bielizna, również

Park Krajobrazowy Międzyrzecza Warty i Widawki

Czesław Grądzki - wspomnienia (fragmenty stron 42-45)

uszyta z płótna, była ostra i szorstka. Ubranie codzienne, uszyte z płótna, ufarbowane było przeważnie na kolor czarny lub granatowy. "Kupne" zakładało się tylko do ślubu i potem nieużywane trzymano do śmierci.

Na nogi zakładano obuwie na drewnianych spodach, obite skórą, tak zwane trepy. Buty „kupne” były tylko do ślubu i do kościoła; zakładano je przed kościołem, a w drodze do kościoła kobiety i mężczyźni szli boso. **Zobacz również:**